

H. G. WELS.

## „GWIAZDA“

Z CYKLU „TALES OF SPACE AND TIME“.

(Tłumaczył Bronisław Falk).

Było to pierwszego dnia nowego roku, gdy doniesiono, równocześnie prawie z trzech obserwatorów, że bieg planety Neptuna, najodleglejszej z planet koło słońca krążących, stał się ogromnie nieregularnym. Już w grudniu zwracał uwagę Ogilvy na podejrzane zwolnienie jego szybkości. Wieści te ledwie wzbudziły zainteresowanie mieszkańców świata, których większa część nie wiedziała o istnieniu planety Neptuna, równie jak nie wywołało wrażenia, poza kołami zajmującymi się astronomią, następne odkrycie słabej, dalekiej plamki świetlnej, w okolicy planety, która uległa perurbacji. Ludzie fachowi przyjęli jednak wiadomość dosyć poważnie dopiero jeszcze nim rozeszła się wieść, że nowo odkryte ciało niebieskie rośnie gwałtownie i staje się coraz jaśniejsze, że jego bieg pod każdym względem wyróżnia się od zwyczajnego, postępowego biegu planet i że zboczenia w ruchach Neptuna i satelity jego przybrały teraz formę nigdy nie widzianą.

Zaledwie mała garstka ludzi nie fachowych zdaje sobie sprawę z odosobnienia słonecznego systemu. Słońce wraz z swoimi plamkami gwiazd, pyłem planetoid i nieuchwytnymi kometami, unosi się w bezmiernej próżni, której objęcie myślałoby się prawie niemożliwym. Poza orbitą Neptuna rozciąga się przestrzeń próżna, jak daleko ludzki sięga wzrok, zimna, ciemna, milcząca, czarna pustka, na dwadzieścia milionów razy po milionie mil. Jest to najskromniejsze obliczenie odległości, którą trzeba przebyć, aby dotrzeć do najbliższej z gwiazd. I za wyjątkiem kilku komet, więcej nieuchwytnych, niż najłżejszy płomień, żadne ciało za ludzkiej pamięci nie przebyło tej przepaści przestrzennej, aż do pojawienia się dziwnego tego wędrowca, w pierwszych latach dwudziestego stulecia. Było to ciało o masie niepomiernej, olbrzymie, ciężkie, pędzące bez ostrzeżenia z tajemniczych ciemni niebieskich w obręb słonecznego światła.

Drugiego dnia dostrzedz je było można przez szkła średniej dobroci, jako plamkę o ledwie określonej średnicy, w konstelacji Lwa, koło Regulusa. W krótkim czasie dostępne już było i dla lornetki teatralnej.

Trzeciego dnia roku nowego zwrócono raz pierwszy uwagę czytelników gazet obu półkul na prawdziwe znaczenie niezwykle niebieskiego zjawiska.

„Zderzenie się planet“ — tak zatytułował jeden z londyńskich dzienników artykuł, przytaczając zapamiętanie Duchaisne'a, co do prawdopodobnej kolizji niezwykle, nowego planety z Neptunem. Najpoważniejsi pisarze rozwodzili się nad tym przedmiotem. Dlatego też, trzeciego stycznia, w przeważnej części stolic świata oczekiwano, chociaż z pewnym niedowierzaniem, jakiegoś wydarzenia na niebie.

A kiedy na ziemi zapadła noc, tysiące ludzi zwróciło oczy ku niebu, aby przyglądać się starym, dobrze znanym gwiazdom, świecącym jak dawniej.

Aż wreszcie w Londynie zaczął się dzień, Polux zeszedł i gwiazdy w górze pobladły. Był to zimowy brzask, stopniowe przedzieranie się słabego światła dzienne; w oknach błyszczwały żółtawe światła świec i lamp gazowych, wskazując, gdzie krzątali się ludzie.

Patrzył w niebo ziewający policjant, gapił się tłumy zebrane na targu; wyrobnicy zdążający wczesnym rankiem do pracy, mleczarze, dorożkarze, wesołe towarzystwo, powracające do domu zmęczone i blade, bezdomne w odczgi, żołnierze na posterunku, a po wsiach, robotnicy ciągnący w pole, skradający się do domu złodzieje, kłusownicy leśni, — równie jak tam na morzu, wyczekujący dnia żeglarze — widzieć mogli ponad budzącą się do życia okolicą ten punkt świecący, wielką, białą gwiazdę, na zachodzie niebios.

Była jaśniejsza niż którakolwiek z gwiazd na naszym niebie; jaśniejsza od gwiazdy wieczornej w jej pełnym blasku. Stawała się coraz bielsza i coraz większa, była już nie iskrzącą się plamką świetlną, lecz małym, jasno świecącym krążkiem, w godzinę po rozpoczęciu się

dnia. Tam, gdzie nie sięgała wiedza, stawali ludzie w przerażeniu, opowiadając sobie o wojnach i zarazach, które przepowiadały podobne ogniste znaki na niebie.

Odważni Burowie, ciemni Hotentoci, Murzyni Złotego Wybrzeża, Francuzi, Hiszpanie, Portugalczycy, w ciepłych promieniach wschodzącego słońca stali, czekając zejścia tej dziwnej, nowej gwiazdy. W stu obserwatorach znać było tłumione podniecenie, które doszło do szczytu, gdy dwa dalekie ciała niebieskie zderzyły się z sobą; noc całą trwała błądźnina za aparatami fotograficznymi i spektroskopem i nastawianie ich, celem upamiętnienia tego niebywalego, zadziwiającego widoku — zniszczenia świata. Gdyż był to odrębny świat, ta siostrzyca naszej ziemskiej planety, wiele większa od ziemi naszej w każdym razie, która w płomieniach tak gwałtowną ginieła śmiercią. Obca planeta z nieznanych przestrzeni wpadła wprost na Neptuna, a ciepło, przy uderzeniu wytworzone, zmieniło bez litości oba globy w olbrzymią, rozpaloną do białości masę.

Dookoła ziemi, na dwie godziny przed brzaskiem dnia, przesuwała się biała, wielka, jasna gwiazda, błędąc jedynie przy swoim zachodzie, kiedy zjawiało się słońce. Wszyscy ludzie zdumiewali się nad jej pięknnością, lecz z pomiędzy nich zdumiewali się najwięcej żeglarze, którzy daleko na morzu nie słyszeli nic o jej przybyciu i widzieli ją teraz wschodzącą, jak mały księżyc, posuwającą się do zenitu, wiszącą nad głowami i iskrzącą na zachodzie wraz z nocą.

A kiedy w Europie znowu zapadła noc, wschodu wielkiej, nowej gwiazdy wypatrywały tłumy ciekawych, na wzgórzach, dachach i miejscach otwartych. Wszędzie otoczona białą smugą, oślepiając blaskiem swym jak rozpalony do białości metal, a na ten widok ludzie, obecni przy zjawieniu się jej nocy ubiegłej, nie mogli powstrzymać okrzyku: „Jest większa“ — wołali. — „Jest jaśniejsza“. W istocie, księżyc w pełni, na zachodzie niknący, wielkością swą nie nadawał się do porównania, lecz mimo rozmiarów ledwie posiadał taką siłę świetlną, jak ów mały krążek nieznanej, nowej gwiazdy.

„Jest jaśniejsza!“ — wołali ludzie, zbijając się na ulicy w gromadki. W ciemnych obserwatoriach badacze wstrzymywali oddech i spoglądali na siebie. „Jest bliższa“ — mówili. — „Bliższa“.

Głos za głosem powtarzał: „Jest bliższa“ — a słowa te podchwycił tykający telegraf; przebiegały one po drutach telefonu i w setkach miast układali je do druku zecerzy. „Jest bliższa“. Urzędnicy biurów, uprzytamniając sobie dziwną nowinę, opuszczali bióra, ludzie rozmawiający w najrozmaitszych miejscach zastanawiali się nagle nad groleskową zagadkowością tych słów: „Jest bliższa“. Słowa owe przebiegały wzdłuż ulic budzących się ze snu, wywoływane były na pokrytych śniegiem drogach spokojnych miasteczek; ludzie, którzy czytali je wprost z depeszy, stojąc na progu, w żółtym świetle lamp, podawali wiadomość przechodniom: „Jest bliższa“. Piękne kobiety, zarumienione i rozpromienione, słuchały wiadomości, przytaczanej jako żart wśród tańca i udawały głębokie zainteresowanie, którego nie czuły. „Bliższa?“ Czy być może? Jak bardzo, bardzo uczeni muszą być ludzie, którzy podobne wykrywają rzeczy!.

Samotni podróżni, jadący wśród nocy zimowej, szeptali te słowa na własną pociechę, z oczyma zwróconymi ku niebu. „Mogłaby być jeszcze bliższa, gdyż nocy są piekielnie zimne. Bądź co bądź, jeśli nawet jest bliższa, nie obdara nas wielką ilością ciepła“.

„Na co mi nowe gwiazdy?!“ — wołała płacząca kobieta, klęcząc obok zmarłego swego męża.

Uciekając, wstając rano do przedegzaminowej roboty, łamał sobie głowę nad wielką, białą gwiazdą, świecącą silnie i jasno przez obmarzłe szyby okien. „Słaba odśrodkowa, dośrodkowa...“ — mówił podpierając brodę rękoma. „Co będzie jeśli zatrzyma w biegu jakąś planetę, jeśli pozbawi ją siły odśrodkowej? Ta spadnie na słońce, mocą swej dośrodkowej siły, a to...“.

„Czy staniami jej na drodze?... Dziwię się...“

Dzień minął jak zwyczajnie, a w późnych godzinach mroźnego wieczoru obca gwiazda pojawiła się znowu. Była już teraz tak jasną, że wielki księżyc, unoszący się na zachodzie, wyglądał przy niej jak blade, żółte widmo własne.

W jednym z miast południowej Afryki jakiś wielki mąż obchodził zaślubiny i na cześć mło-

dej pary ulice były oświetlone. „Nawet w niebiosach iluminują“ — mówił pochlebca. Pod zwrotnikiem, para kochanków Murzynów, drwiąc sobie z dzikich zwierząt i duchów złych, w wzajemnym uścisku miłosnym, tuliła się do siebie w gęstwinie trzciny, między którymi przelatywały świetliki. „To nasza gwiazda“ — szeptali i czuli dziwne zadowolenie, że gwiazda ta świeci tak jasno.

Profesor matematyki siedział w prywatnym swoim mieszkaniu i przeglądał papiery. Ukończył już obliczenia. W małej, białej fiolce została tylko reszta narkotyku, który utrzymywał go w czujności i pracy cztery długie noce. Każdego dnia, z zwyczajnym spokojem, jasnością i cierpliwością wykladał swoim studentom, a potem powracał do swych znamienitych obliczeń. Twarz jego była poważna, nieco znużona i dzięki szlucznemu podnieceniu wyglądająca chorobliwie. Czas pewien zdawał się być pogrążonym w rozmyślanie. Potem podszedł do okna i z hałasem podniósł żaluzje. W połowie niebieskiej drogi, ponad powodzią domów, kominów i wież miasta, świeciła gwiazda.

Patrzył na nią, jak patrzy się w oczy wroga, którego dzielność jest znana. — „Możesz mnie zabić“ — powiedział po chwili milczenia. — „Lecz ja mogę opanować cię — i cały świat w taki sam sposób — potęgą mego skromnego mózgu. I nie pragnąłbym zamiany. Nawet teraz“. Popatrzył na małą fiolkę. „Spać będziemy do syta“ — rzekł.

Dnia następnego, w południe, punktualnie co do minuty, wszedł na salę wykładową, złożył kapelusz według zwyczaju na b zegu stołu i troskliwie wbrał wielki kawałek kredy. Studenti mówili żartem, że nie może wykladać nie trzymając w palcach kawałka kredy i wprowadzili go raz w zakłopotanie, ukruszy ten pomocnik niosący przedmiot.

Przyszedł, popatrzył z pod szarych brwi na piętrzące się szeregi młodzieńskich, świeżych twarzy i za zął mówić, układając zdania zwyczajnym, wystudjowanym sposobem.

„Zszły okoliczności, okoliczności nieprzewidziane przezemnie — rzekł i zatrzymał się — które nie dadzą mi ukończyć zamierzonego kursu. Zdaje się, panowie, że człowiek żył nadaremnie“.

Studenti spojrzeli po sobie. Czy ich nie zawiodł słuch? Brwi marszczyły się i krzywiły usta, lecz jedna, czy dwie pary oczu zwróciły się z uwagą na jego spokojną, okoloną siwym zarostem twarz.

„Będzie interesującą rzeczą — mówił — poświęcić ranek ten na wyjaśnienie, możliwie dla panów dostępne, obliczeń, które doprowadziły mnie do tego wniosku. Spróbujmy!“.

Zwrócił się do tablicy, zastanawiając się nad diagramem w sposób sobie właściwy. „Co to ma znaczyć, że człowiek żył nadaremnie? — szeptał jeden z studentów do drugiego. „Słuchaj!“ — rzekł mu ten, pochylając się z uwagą ku profesorowi.

I teraz zaczęli rozumieć.

Nocy tej gwiazda zesłała jeszcze większa, gdyż samorodny pęd jej ku wschodowi przesunął ją poprzez konstelację Lwa ku Pannie, a świeciła tak mocno, że po jej wschodzie niebiosy stały się jasno błękitne i wszystkie gwiazdy w biegu swym pobladły, za wyjątkiem Jowisza w pobliżu Zenitu, Capelli, Aldebarana, Syriusza i gwiazd Niedźwiedzicy.

Była bardzo jasna i piękna. W wielu okolicach świata pojawiła się tej nocy w bladej aureoli. Zwiększyła się widocznie. Na czystym, odbijającym światło niebie krain podzwrotnikowych zdawała się wielkością dorównywać czwartej części księżyca. Na ziemiach Anglii spoczywał jeszcze śnieg, lecz ziemia oświetloną była tak jasno, jakby w letnią, księżycową noc. Można było prawie czytać normalny druk przy tym zimnym, jasnym świetle, a światło lamp po miastach zdawało się przy niem mdłym i żółtym. Gdziekolwiek nocy tej czuwalili ludzie, a wokół kościołów po wsiach, w mroźnym powietrzu, słychać było złowrogi szmer, podobny do brzęczenia pszczoł w barci, szmer nieokreślony, który w miastach przerażał się w głośny hałas.

Na wieżach i dzwonnicach setek tysięcy miast biły dzwony, wzywając lud do wyrzeczenia się grzechów i zbierania się po kościołach na modlitwę. A ponad ziemią wirującą normalnym trybem i w cieniu nocy spowitą, coraz większa i coraz jaśniejsza, wschodziła oślepiająca gwiazda. Ulice i domy oświetlone były we wszystkich miastach, w pełnym świetle stały